

7 w 2021 (299)

# Rumuńska pętla

**Data publikacji: 12.02.2021 / Autor: Maciej Sadowski**

Był rok 2015, kiedy wziąłem udział w kursie podharc mistrzowskim HD. I tak się wszystko zaczęło. Na kursie poznałem Rafała Poliszkiwicza, przyszłego drużynowego 44 WDW-ów. To za jego sprawą wyruszyłem na jedną z najciekawszych (a zarazem, patrząc z perspektywy, najbardziej szaloną) z dotychczasowych wędrówek.

## Przed wyjazdem

Już w 2016 roku, Rafał poszukiwał komendanta dla obozu wędrownego, planowanego razem z 80 WDW-ek "Ostoja". Jako świeżo upieczony podharc mistrz, planujący (jedyne) organizację i „komendowanie” kolonii, przy jednoczesnym prowadzeniu gromady i zamiarze odwiedzenia Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, ochocho się zgodziłem. W związku z tym, że oboje drużynowych miało większe doświadczenie w praktyce wędrowniczej niż ja, zajęli się oni stroną organizacyjną. Moja rola ograniczała się do udostępnienia uprawnień oraz służenia radą oraz „doświadczeniem”. Warunek który postawiłem, to zabranie, w charakterze wsparcia ówczesnej dziewczyny, obecnie żony (hm. Asi Sadowskiej).



Przed wyjazdem odbyło się spotkanie, na którym wędrowniczki i wędrownicy podzielili się zadaniami, obierając za cel Rumunię. W planach było odwiedzenie Polonii, służba, zwiedzanie, chodzenie po górach, podróżowanie różnymi środkami transportu i inne, nieznane przygody.

Po dopięciu formalności nadszedł czas wakacji. Najpierw kolonia, zaraz po niej aktywny udział w Zlocie podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, gdzie

byliśmy z Asią. Wracaliśmy spontanicznie, 1 sierpnia, wraz z jednym z instruktorów, zaliczając po drodze stłuczkę. Nie pamiętam dokładnej godziny powrotu, ale z pewnością był to wieczór. Wyjazd na obóz miał się odbyć w mniej niż 24 godziny po powrocie z ŚDM. W domu zorientowałem się, że omyłkowo zamieniłem przy pakowaniu jeden z bagaży i zabrałem zestaw przyborów małopolskiej instruktorki (pozdrawiam Asię ☺), zamiast solidnych treków i przeciwdeszczowego szelestu...

## Dzień I 2.08 - Wyjazd

Po “zlokalizowaniu” brakujących części ekwipunku, zdecydowałem się na ich uzupełnienie przez zakup podobnego szelestu oraz najtańszych treków w “mekce” każdego harcerza - Decathlonie. Po spakowaniu się, zgodnie z harmonogramem, stawiałem się na dworcu autobusowym Warszawa Zachodnia. Tam podzieliliśmy się prowiantem. Pomimo spakowania jedynie niezbędnego ekwipunku (podziękowania dla Rafała i Gosi za szczegółową, minimalistyczną listę), plecak ledwo się dopinał.

Tuż przed godziną odjazdu, nie mogliśmy odnaleźć naszego autokaru. Mijały kolejne minuty, a niepewność wciąż w nas narastała. W końcu, z kilkuminutowym opóźnieniem, pojawił się. Staroświecki, mocno zużyty autokar, który miał nas zawieźć na południe Ukrainy.



Zahartowany przez kolonijne doświadczenia, oraz zaopatrzony w przewodnik Lonely Planet, ruszyłem wraz z dwunastką śmiazków ku przygodzie. Kierunek - Czerniowce. Pomińmy fakt, że zasnąłem jak kamień wymęczony wymagającymi Dniami Młodzieży.

## Dzień II 3.08 - Przez granicę i na południe!

Nad ranem dotarliśmy do Czerniowców. Plan zakładał dotarcie busikiem do przejścia granicznego, które wedle wszelkich informacji miało być także przejściem pieszym. Wylądowaliśmy na zdezelowanym dworcu i przeszliśmy do realizacji zamierzonego

planu. Busik okazał się nieco droższy niż planowaliśmy, ale dowiózł nas niemal do samego przejścia Vicovu de Sus.



Na całe szczęście, okazało się, że przejście jest możliwe. Przekroczywszy granice podzieliliśmy się na wcześniej ustalone, mieszane składy i autostopem ruszyliśmy ku miejscowości Sucevița. Cechuje ją umiejscowienie przy drodze krajowej 17A, dokładnie na północ od celu naszej podróży – miejscowości Pojana Mikuli. Wszystkie 6 zespołów bez przeszkód dotarło na miejsce i po zwiedzeniu monasteru ruszyliśmy na południe “w las”.

Zgodnie z wcześniejszym planem, znaleźliśmy dogodne miejsce w oddaleniu od ludzkich osiedli oraz w pobliżu strumienia, dobrze nadające się do rozbicia obozowiska. Celem zmniejszenia wagi i ilości bagażu, zdecydowaliśmy się (z inicjatywy Rafała) na nocleg pod plandekami (nie zabieraliśmy namiotów ze względu na ich nieporęczność. Mieliśmy dwie plandeki, z których jedna była nieco mniejsza.



Duży plus plandek to ich kompaktowość oraz łatwość w rozkładaniu. Jedyne co trzeba znaleźć, to dwa patyki (spotkałem się z wykorzystaniem kijów trekkingowych, nie jest to jednak stabilne) i coś do obciążenia spodu. Powstaje w ten sposób jednospadowy szałas, który dobrze usytuowany, chroni przed wszelkimi niedogodnościami pogodowymi. Na otwartej przestrzeni może być ciężko o dogodne miejsce, aby schronienie nie było zbyt przewiewne. Dodatkowo, plandeki powinny być z nieco grubszego materiału i w dobrym stanie. Niestety, nasze miały miejsca, które pozwalały zobaczyć gwiazdy.

## **Dzień III 4.08 - Do Pojana Mikuli**

Poranki spędzane na łonie natury były dość podobne. Zazwyczaj przyjmowałem ostatnią, dłuższą wartę, aby zająć się przygotowaniem śniadania. Do standardów należała owsianka lub kasza manna na mleku w proszku z dodatkiem kakao, czekolady i orzechów. Palenisko stanowiło finezyjną konstrukcję, w ramach której z Rafałem eksportowaliśmy różne formy paleniska. Wykorzystanie zbocza do stworzenia pieca raketowego zapewniało szybkie i wygodne gotowanie.



Po zwinięciu i zamaskowaniu obozowiska, ruszyliśmy w dalszą podróż przez lasy rumuńskiej Bukowiny. Naszym celem była Pojana Mikuli – nieduża wieś, której

mieszkańcy mają polskie pochodzenie. Pod koniec lat 40. XIX wieku, podjęto decyzję o zasiedleniu doliny rzeki Mănăstirea Humorului. Osiedleńcami było 40 rodzin niemieckich oraz 40 rodzin polskich ze Starej Huty Krasnej.

Do wsi dotarliśmy po południu i zostaliśmy przyjęci bardzo życzliwie przez lokalnego księdza. Jak się okazuje, także potomka Polaków. Chociaż byliśmy przygotowani na kawałek podłogi "w szopie", zostaliśmy zakwaterowani w świeżo zbudowanym Domu Polskim. Ksiądz przeproszał, że nie przyjmie nas na łózkach, ale jeszcze nie są gotowe. Nie były one nam jednak potrzebne. Możliwość skorzystania z pryszniców i ciepło czterech ścian wystarczyło w zupełności. Dobrze, że przygotowaliśmy dużą torbę krówek, jako prezent z Polski.



## **Dzień IV 5.08 - W polskiej wsi**

Jeden dzień zarezerwowaliśmy sobie na spędzenie czasu z mieszkańcami Pojany Mikuli i, jeżeli będzie taka możliwość, odbycia służby. Część dziewcząt pojechała z księdzem odwiedzić starszych mieszkańców wioski, zaś pozostali udali się na spacer i spotkanie z rodzicami księdza. Pomimo podeszłego wieku nadal pracują oni na polu i zajmują się rolnictwem. Razem z nimi udaliśmy się na kawałek ich terenu, gdzie pomogliśmy w załadunku siana. Zjazd wozem po stromym zboczach napawał nas niepokojem, jednak dla nich nie stanowiło to najmniejszego nawet wyzwania. Mieliśmy też okazję skosztować wybornej, kremowej pasty z bakłażana i cebuli na pajdzie chleba.



Spotkaliśmy też Pana Łuczą Iuraszka, prezesa Stowarzyszenia "OBCZYNY". Podobnie jak rodzice księdza, mówił on po Polsku i prowadził stowarzyszenie turystyczne, które stanowi też jedno ze spoiw lokalnej Polonii. Poza promocją turystyki i malowaniem szlaków, stowarzyszenie zajmuje się także udostępnianiem dróg pomiędzy „polskimi wioskami”: Pojaną Mikuli, Nowym Sołóńcem i Pleszą. Pan Łuczą polecił nam najdogodniejszy szlak, który w kolejnych dniach obraliśmy, zmieniając nieco początkowe plany. Odwiedziliśmy też lokalny kościół pod patronatem św. Jana Pawła II.



Ciekawym doświadczeniem była dla mnie wizyta w sklepie. Zapewne nie jest ono obce nikomu, kto znalazł się w typowo wiejskim sklepie, jednak z jakiegoś powodu wyraźnie zostało mi w głowie. Skromny asortyment, zapewnienie wszystkiego, co potrzeba, a na rachunek nie ma co liczyć (pozdrawiam wszystkich rozliczających wyjazdy zagraniczne). Dostaliśmy jedynie kartkę z listą zakupionych produktów oraz sumą. Porozumiewać można było się mieszanką polskiego i rosyjskiego, do tego gestykując lub licząc na pomoc lokalnych mieszkańców. Serdeczność i szczerść tamtejszej społeczności wynagradzała wszelkie niedogodności. Zaopatrzeni w ziemniaki, paprykę, pomidory, przyprawy i „mięso mielone” powróciliśmy do kwatery, gdzie spożyliśmy pożywny, jednogarnkowy posiłek. W głowie zostało mi wspomnienie szczęścia, jakie czuje człowiek zjadający posiłek w

promieniach słońca w wiosce “na końcu drogi”.

## **Dzień V 6.08 - Plesza i monastyr Humor**

Sobota była dniem, w którym musieliśmy opuścić Pojana Mikuli. Pożegnaliśmy księdza, pozostawiając pękata torbę krówek i ruszyliśmy na szlak wskazany przez Pana Lucaśa ku Pleszy. Zamiast asfaltowej drogi, szliśmy przez zalesione wzgórza, podziwiając okoliczne panoramy. Chociaż wtedy tego dostatecznie nie doceniałem, chciałbym poświęcić zdanie, aby podziękować Gabrieli Prokop za przykład harcerskiej postawy. Gdy dochodziliśmy do Pleszy, niosła ona dwie pokaźne góry porzuconych przez turystów butelek i śmieci. Godna naśladowania postawa!



Plesza to miejscowość zamieszкана niemal wyłącznie przez Polaków. Wszyscy radośni i pogodni odmachiwali bandzie objuczonych plecakami podróżnych. W czasie postoju przy sklepie mieliśmy okazję zetknąć się z zachowanymi tradycyjnymi zwyczajami. szykujących się do ślubu młodzian, wraz z dwoma druźbami (wszyscy w tradycyjnych strojach przypominających nieco te góralskie). Zapraszali oni wszystkich na weselisko. Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu, również moglibyśmy wziąć w nim udział, albowiem zostaliśmy zaproszeni.



Z pleszy ruszyliśmy na południe do miejscowości Mănăstirea Humorulu, gdzie odwiedziliśmy zabytkowy monastyr Humor z malowaną cerkwią pod wezwaniem Zaśnięcia Bogurodzicy. Podobnie jak inne malowane cerkwie Bukowiny wpisana jest ona na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Nieco zaniedbany wygląd zewnętrzny skrywa piękno oraz powagę malowideł. Obozowisko rozbiliśmy w lesie na północny-wschód od miejscowości. Tam skonstruowaliśmy kolejny finezyjny piec, na którym przyrządziliśmy obiadokolację. Była to kolejna jednogarnkowa wariacja z warzyw i produktu mięsopodobnego, zakupionych w lokalnym sklepie.



## **Dzień VI 7.08 - Kaczyka**

Przez wzgórza dotarliśmy do wsi Kaczyka, w której zlokalizowana jest duża, nadal czynna kopalnia soli. Jako że możliwe jest jej zwiedzenie, skorzystaliśmy o choczko z tej możliwości. Przyznam, że nie odbiła się ona szczególnie w mojej pamięci. Przypomina dla mnie kopalnie w Bochni czy Wieliczce. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ tworzyli ją górnicy właśnie z tych dwóch miejscowości.



W lokalnej bazylice Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Cacica wzięliśmy udział we Mszy Świętej, zaś dla zaoszczędzenia czasu, obiad zjedliśmy w lokalnej restauracji przypominającej stołówkę. Wyzwaniem stanowiło dotarcie do

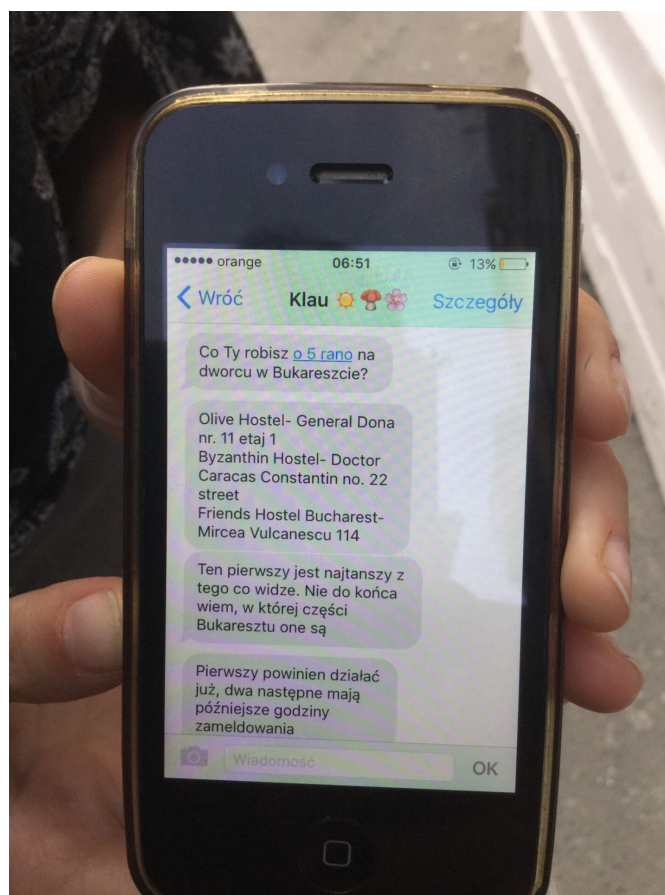
wyznaczonego na ten dzień celu - Suczawy. Ze względu na brak komunikacji autobusowej, zdecydowaliśmy się na jazdę stopem. Zdziwiająco szybko udało się wszystkim dotrzeć na dworzec autobusowy, z którego późną nocą mieliśmy ruszyć na drugi kraniec Rumunii, do położonej niemal 450 km na południe stolicy - Bukaresztu.

To jednak zupełnie odmienna część przygody.

---

## Dzień VI 8.08 - doba w Bukareszcie

Przygoda w Bukareszcie zaczęła się, zanim jeszcze tam trafiliśmy. Okazało się, że planowany nocleg "u skautów" nie jest możliwy. Zaczęło robić się nerwowo, ponieważ około 5:00 mieliśmy dotrzeć do miasta, a potrzebowaliśmy bazy pozwalającej na złożenie rzeczy i odświeżenie się. Ratunkiem okazała się koleżanka Asi, które tuż przed wyjściem do pracy odnalazła i przesłał nam namiary na kilka hosteli, w tym na jeden, który zgodził się przyjąć nas już koło 8 rano.



Po szybkim odświeżeniu się zwiedziliśmy miasto w grupach. Wstyd przyznać, ale

niewiele pamiętam z tamtej wędrowki. Miasto zapamiętałem jako miks dziwnych budynków aspirujących zarówno do projektów nowoczesnych, jak i starszych, nieco zapuszczonych. Może to obraźliwe, ale tak to zapamiętałem. Przepraszam Rumunio. Najlepiej zapamiętałem stare miasto z klimatycznymi uliczkami oraz widok na Pałac Ludowy.



Wieczorem rozdzieliliśmy się na dwie ekipy – męską i żeńską, aby spędzić czas w swoim gronie. Razem z chłopakami postanowiliśmy skosztować lokalnych specjałów i odwiedziliśmy restaurację. Poprosiliśmy kelnera o polecenie kilku dań pozwalających zasmakować rumuńskiej kuchni. Nie była to kolacja wykwintna, ale niezwykle przyjemna i smaczna. Nic w tym dziwnego – mielone grillowane mięso przełamane warzywami i niewielką ilością węglowodanów zawsze stanowią dobre połączenie. Wspólna kolacja była okazją do rozmów i wspólnych przemyśleń.

## **Dzień VII 9.08 - w Fogarasze**

Z samego rana opuściliśmy kwaterę i udaliśmy się na autobus, który zawiózł nas na północ do miejscowości Braszów. Miejsce położone na wschodnim skraju rumuńskich Fogaraszy zamieszkiwane było od XII wieku. Malownicze położenie oraz piękne stare miasto sprawiają, że jest to punkt który powinien znaleźć się w każdym planie podróży. Wielka szkoda, że tak mało czasu mogliśmy przeznaczyć na Braszów. Musieliśmy uzupełnić zapasy i jechać dalej.

Naszym celem było dojście do górskiego schroniska w Fogaraszach. Kolejnym autobusem dotarliśmy do miejscowości Fogarasa, a następnie stopem do miejscowości Victoria. Gdy wszyscy tam dotarli, ruszyliśmy w stronę schroniska Cabana Podragu. Było dość późno i odczuliśmy to na podejściu. Ściemniało się, a my wciąż byliśmy na szlaku. Dodatkowo (co było do przewidzenia) temperatura zaczęła znacząco spadać. Do tego wszystkiego nasza grupa mocno się rozciągnęła. Byliśmy

jednak zdeterminowani i umówieni, że spotkamy się na miejscu.



Docierający w mniejszych grupach zajmowali się poszczególnymi zadaniami takimi jak chronienie czy obiad. Ze względu na późną porę zdecydowaliśmy się sięgnąć po kuchenkę gazową. I to był moment, w którym zorientowaliśmy się, że butla nie pasuje do palnika... Było ciemno, zimno, zawiewało i zaczynało kropić. Wszyscy czuliśmy potrzebę ciepłego posiłku, a brak lasu nie nastrajał optymizmem na perspektywę na rozpalanie ogniska. Zostaliśmy uratowani przez... trzech turystów z Polski, którzy użyczyli nam swojej butli. Po posiłku położyliśmy się w skręconym naprędce szałasie.

## **Dzień VIII 10.08 - w Fogaraszach**

Noc nie była łatwa. Wiatr zawiewał, deszcz zacinał. Rozbijając szałas jedną planckę umieściliśmy na ziemi, a większą jako nisko umieszczony dach. Marziliśmy mimo faktu, że wszyscy byliśmy ściśnięci dwukrotnie bardziej niż zazwyczaj. Dodatkowo, deszcz i wiatr wzmagają się. Leżąc na skraju odczuwałem to szczególnie dotkliwie. Doceniałem ciepłe skarpety i wybór ciepłego śpiwora.

Poranek nie był słoneczny, ale przynajmniej nie padało. Podzieliliśmy się na dwie ekipy. Cztery osoby zostały w obozowisku, a reszta wraz z poznanymi wczoraj turystami udała się na wyżej położone szlaki i szczyty. Wraz z pozostałymi w obozowisku pilnowaliśmy suszenia rzeczy, poprawiliśmy obozowisko i regenerowaliśmy siły.



Przygotowaliśmy też solidną, nieco bardziej zróżnicowaną obiadową kolację. Dzięki dużej ilości czasu mogliśmy sobie pozwolić na większą finezję. Nie pamiętam, co znalazło się w garnku, ale kasza ugotowana *al dente* i przełożona do folii aluminiowej, a następnie obłożona rozgrzаныmi kamieniami, mogła utrzymać temperaturę przez kilka godzin.



Wieczór spędziliśmy przy ognisku wraz z nowo poznanymi kompanami. Chociaż wtedy tego nie wiedziałem, spotkanie nie było przypadkowe. Jedna z osób uczestniczących w wyjeździe przekazywała nasze plany, aby doprowadzić do “przypadkowego” spotkania. Sądzę, że takie spotkania mogą być ciekawym elementem, jednak w związku z elementarną uczciwością, powinny być ustalone z pozostałymi uczestnikami wyprawy.

## **Dzień IX 11.08 - Nocleg przy pałacu**

O poranku zwinęliśmy obozowisko i niespiesznie udaliśmy się w dalszą drogę. Naszym celem była dalsza droga na zachód. Przeglądając mapy, udało mi się dojść do tego, gdzie dotarliśmy. Jestem niemal pewien, że zrezygnowaliśmy z ataku na większe miasto Sybin i wybraliśmy na nocleg mniejszą miejscowość Avrig. Naszą motywacją była łatwiejsza perspektywa na znalezienie noclegu, a jako awaryjne rozwiązanie, stosunkowo nieduża odległość od lasu.

Poszukiwania noclegu nie szły specjalnie dobrze, jednak w końcu udało się znaleźć nocleg przy letniej rezydencji Samuela von Brukenthal – dawnego gubernatora Wielkiego Księstwa Siedmiogrodu. Pałac służy za hotel i restaurację. Już wtedy nieco dziwnym doświadczeniem było rozbijanie plandek przy zabytkowym murze pałacowych ogrodów. Dużą zaletę stanowiła możliwość skorzystania z łazienki z ciepłą wodą w nowszej części hotelu przypominającej schronisko młodzieżowe. Niestety, nasza ekscytacja i możliwość podsuszenia rzeczy przełożyła się na zapomnienie ze strony innych korzystających.

## **Dzień X 12.08 - Sybin i Alba Iulia**

Z samego rana udaliśmy się w podróż po zabytkowych Rumuńskich miastach. Większą część dnia spędziliśmy w Sybinie, sięgającym swą historią aż do XII wieku. Zdjęcia pozwalają mi przywołać pojedyncze obrazy placów i kamienic. Pamięć okazuje się jednak szalenie zawodna i nie utkwilo mi w niej nic szczególnego.

Korzystając z WiFi w kawiarni staraliśmy się zaplanować kolejne noclegi. Wiedzieliśmy, że w Kluż Napoce, do której mieliśmy dotrzeć następnego dnia, możemy liczyć na nocleg na parafii. Ostatni punkt – Oradea, także nie nastrajał niepokojem. Jednak, na dziś nie mieliśmy żadnego noclegu. W końcu znaleźliśmy miejsce w Alba Iulii, które zdawało się odpowiadać naszym potrzebom – dach i podłoga – oraz możliwościom finansowym. Wszystko zapowiadało, że oferuje noclegi.



Kiedy dotarliśmy na miejsce okazało się, że jest to rodzaj przestrzeni klubowo-impresowej umieszczonej między umocnieniami XVIII wiecznego bastionu. Do tego, rozwijała się tam impreza. Zostaliśmy jednak skierowani do budynku, w którym mieścił się swoisty magazyn instrumentów, powiedziano, że możemy tutaj zostać. Dostaliśmy nawet klucz. Było to niecodzienne, zwłaszcza, że rozliczyliśmy się z DJ-em, a poranna zmiana ewidentnie nie wiedziała o naszym pobycie. Nie była jednak specjalnie zszokowana □ .

Wieczorem udaliśmy się jeszcze na spacer po uliczkach Alba Iulii.

## **Dzień XI 13.08 - Alba Iulia**

Od rana intensywnie zwiedzaliśmy Alba Iulię. Przed przyjazdem do Rumunii nie przypuszczałam, że spotkam tam tak starożytne lokacje. Miasto stanowiło istotny ośrodek Dacji, a wymieniane jest już w pismach z I wieku. Był to jeden z największych rzymskich ośrodków w regionie. Przez kolejne wieki stanowiło stolicę lokalnych władców oraz istotny ośrodek religijny i naukowy. Poza pozostałościami rzymskiego obozu, w którym stacjonował XIII legion oraz cytadelą, warta zobaczenia jest usytuowana w mieście katedra prawosławna. Jako kreatywni harcerze znaleźliśmy dodatkową atrakcję w postaci odnajdywania rozsianych po mieście figur.



Od lewej: autor, Piękna Dama z Alba Iulii, Rafał (podpis od Redakcji).

Po południu ruszyliśmy w drogę do Kluż-Napoki. Jeżeli wierzyć notatkom, dotarliśmy tam około godziny 17 lub 18. Nocleg udało nam się znaleźć na parafii, co pozwoliło nam na kolejną noc w ciepłym i suchym miejscu.

## **Dzień XII 14.08 - Kluż-Napoka i Oradea**

Rano zwiedziliśmy część drugiego (po Bukareszcie) miasta uniwersyteckiego w Rumunii. Niestety, czas nam się kurczył a następnego dnia musieliśmy być już na Węgrzech. Autobusem dojechaliśmy do graniczącej z Węgrami Oradei.

Nie mieliśmy wielkiego planu i nie spodziewaliśmy się, że miasto będzie aż tak duże. Dodatkowo, okolica, w której wysiedliśmy (jeden z bocznych dworców autobusowych), zamieszkała była przez groźnie wyglądających Romów. Nasze optymistyczne nastawienie do noclegu prysnęło, jednak niespodziewanie, znowu zostaliśmy uratowani przez księdza. Uratowani, to mało powiedziane. Zostaliśmy ugośczeni w wielopokojowym mieszkaniu, a każde z nas mogło spędzić noc na łóżku. Wieczór ponownie spędziliśmy na zwiedzaniu miasta, które jest jednym z najbardziej rozwiniętych Rumunii. Przez lata było jednym z ważniejszych ośrodków Królestwa Węgier oraz miejscem pochówku królów. Wieczne spacerować to

zdecydowanie jeden z najlepszych sposobów zwiedzania miast w upalne, sierpniowe dni.



## **Dzień XIII i XIV 15 i 16.08 - przez granicę i do domu**

Po śniadaniu spakowaliśmy się i ruszyliśmy celem opuszczenia Rumunii. Naszym celem było oddalone o ~20 km miasteczko Biharkeresztes tuż za węgierską granicą. Do granicy mieliśmy około 13 km. Ruszyliśmy ochoczo, odwiedzając ostatnie zabytkowe świątynie oraz zaopatrując się w prowiant i słodkości. Liczyliśmy, że uda nam się złapać stopa do granicy. Zajęło to więcej niż myśleliśmy, a co najmniej połowę drogi musieliśmy przejść maszerując po rozgrzanym asfalcie, wystawieni na działanie palącego słońca.

Kiedy wszyscy zebraliśmy się na granicy, przekroczyliśmy ją i ruszyliśmy w stronę Biharkeresztes, z którego mieliśmy pojechać pociągiem w drogę do Bukaresztu. Słońce paliło, a czas się kurczył. Podzieleni na mniejsze zespoły liczyliśmy, że uda nam się podjechać te kilka kilometrów stopem, co pozwoliłoby nam zyskać czas na swobodne przyrządzenie obiadu. Wszystkim udało się złapać stopa. Zbieraliśmy się przy stacji i rozpoczęliśmy przygotowywanie ostatniej wieczerzy. W tym momencie po raz kolejny okazało się, że coś może pójść nie tak.

Główna droga nie prowadziła przez Biharkeresztes, a omijała je szerokim łukiem. Jeden z zespołów nie dogadał się z kierowcą i został wywieziony 20 kilometrów dalej. Niestety, nie na linii pociągu. Zaczęliśmy się niepokoić i układać plany awaryjne. Jechać, czy nie jechać? Na całe szczęście, nie musieliśmy odpowiedzieć sobie na to pytanie. Zespół zdążył dotrzeć na czas, a nawet spożyć posiłek.

Pociąg zawiózł nas prosto do Bukaresztu, w którym znaleźliśmy się tuż przed

północą. Po przetransportowaniu się na inny dworzec, trzydzieści minut po północy wsiedliśmy w autokar zwany kiedyś Polskim Busem, który niczym sardynki w puszcze (skwar wynikający z sierpniowego słońca i braku klimatyzacji dawał się we znaki) dowiózł nas do Warszawy.

---

## Epilog

Cała podróż udała się wyśmienicie, pomimo wielu zgrzytów wynikających z nieдомówień, małego doświadczenia, różnic charakterów czy zwykłego przypadku. Pomyślna gwiazda musiała nad nami czuwać, bo nie raz czułem niepokój. Dziękuję Gosi Szczypińskiej i Rafałowi Poliszkieviczowi za zaplanowanie, przygotowanie i przeprowadzenie wyprawy. Bez waszej pracy, nie doszłaby do skutku. Dziękuję Mileszow za rozliczenie całego wyjazdu. Dziękuję wszystkim wędrowniczkom i wędrownikom, którzy zaangażowali się w tę przygodę. Mam nadzieję, że po tych latach i wy wspomnienie tę rumuńską pętlę z uśmiechem. Dziękuję wszystkim ludziom którzy pomogli nam lub okazali życzliwość. W końcu, dziękuję Asi za wsparcie, cierpliwość i odwagę potrzebne do przeżycia wraz ze mną tej przygody.



Możliwe, że opisane wydarzenia nie pokrywają się w pełni z tym, jak to było naprawdę. Zarówno pamięć jest zawodna, jak i sytuacje oglądane z jednej perspektywy, mogły być odbierane zupełnie inaczej. Niemniej, doświadczenia i emocje towarzyszące podróży, spotkani ludzie i przeżyte przygody, na zawsze zapisane zostały w księdze wspomnień.

Do zobaczenia na szlaku!

*fot. ze zbiorów autora*

Maciej Sadowski

Powszechnie znany jako Sadek – kiedyś drużynowy gromady zuchów, referent, hufcowy, szczepowy i drużynowy wędrowników. Obecnie, kierownik Wydziału Zuchów. Mąż Asi i tata Zuzi.